

Wolny rynek vs kapitalizm

30 marca 2011

Choć powszechnie traktowane jako synonimy, kapitalizm ma mało wspólnego z wolnym rynkiem. Rozróżnienie między nimi ma znaczenie nie tylko semantyczne, ale wręcz systemowe w skali gospodarki.

Wolny rynek i kapitalizm to tak naprawdę pojęcia wzajemnie się wykluczające, zaś na gruncie aksjologii różnice między nimi można przyrównać do różnic między demokracją a totalitaryzmem. Kapitalizm oznacza ni mniej ni więcej, tylko wręcz nieograniczoną akumulację kapitału, ze wszystkimi tego patologicznymi skutkami. Według skrajnych ideologów tego nurtu, nic nie powinno stać na przeszkodzie gromadzeniu pieniądza. W wersji najbardziej aberracyjnej mówi się nawet o tzw. anarchokapitalizmie, który oznacza pełną swobodę działalności gospodarczej, bez jakiegokolwiek kontroli ze strony państwa. Jedynym regulatorem ma być wyniesiony na ołtarze nieomylny rynek, na którym zwyciężają najsilniejsi. Takie podejście prowadzi wprost do darwinizmu społecznego, oznaczającego ekonomiczny faszyzm, wiodący do eksterminacji najsłabszych jednostek w sensie zarówno gospodarczym, jak i fizycznym.

Na drugim biegunie znajduje się wolny rynek, rozumiany jednak w znacznie szerszym ujęciu niż marksistowski schemat. Wolny rynek oznacza bowiem pełny i swobodny dostęp wszystkich podmiotów spełniających podstawowe warunki brzegowe, by uczestniczyć w grze rynkowej. Do warunków tych na wstępie trzeba zaliczyć zdolność do czynności prawnych, dostęp do niskooprocentowanego kredytu i gwarancji ochrony na początku działalności oraz niezagrożone przez znacznie silniejszych graczy funkcjonowanie w danej przestrzeni gospodarczej. W takim ujęciu, wolny rynek zdecydowanie różni się od libertariańskich wizji. By mógł istnieć i w pełni funkcjonować – rzeczą niezbędną są silne regulacje antykoncentracyjne oraz

skuteczna kontrola państwa, nie dopuszczającego do nadmiernego rozrostu podmiotów osiągających swoją pozycję na skutek różnych manipulacji za pomocą kontrolowanego kapitału.

W Polsce niestety dominuje nieprzyjazne słabszym podmiotom darwinowskie podejście do gospodarki. Znajduje ono szczególnie wyraz w Konstytucji RP w art. 20, 21 i 64, które niemalże do rangi świętości windują własność prywatną, kosztem innych form – społecznej i spółdzielczej. Tym samym stają się one podstawą rozwoju kapitalistycznego, którego beneficjentami nie są jednak przeważnie podmioty miejscowe, lecz zagraniczne, cieszące się silną pozycją na arenie międzynarodowej. Co gorsza, wspomniana asymetria zaczyna powoli przeważać w prawodawstwie Unii Europejskiej, znajdując wydzźwięk m.in. w Karcie Praw Podstawowych, w art. 17. Z praktyki widać, że tzw. społeczna gospodarka rynkowa, mimo że literalnie zapisana w polskiej Konstytucji i mogąca być praktyczną emanacją wolnego rynku, jest tutaj sprowadzona do roli zasłony, nieudolnie maskującej brutalne realia ringu bokserkiego.

Na początku lat 1990. przedsiębiorstwa państwowe rzucono na głębokie wody budowanej gospodarki kapitalistycznej. Nic dziwnego, że podmioty te, którym struktura nie pozwalała spełniać ich podstawowych funkcji w nowych warunkach, pozbawione restrukturyzacyjnej ochrony państwa – upadły. Odrzuciło ono wówczas fundamentalną zasadę wolnego rynku, zakładającą, że głównym zadaniem produkcyjnej działalności społecznej nie jest „tępy” wskaźnik czystego zysku, ale akumulacja nadmiaru siły roboczej. Ta zasada miała podstawowe znaczenie zwłaszcza w momencie zmiany ustroju, zaś jej zastosowanie pozwoliłoby uchronić olbrzymią część społeczeństwa przed szokiem spowodowanym neoliberalną transformacją. Właściwe wdrożenie tego podejścia, w postaci umiejętnego przekształcenia przedsiębiorstw i przekwalifikowania pracowników w celu przystosowania ich do działalności na wolnym rynku, zaowocowałoby awansem cywilizacyjnym całego kraju.

Niestety, dyktowane z zewnątrz kapitalistyczne reguły gry poskutkowały sprzedażą monopolu państwowych przedsiębiorstw zagranicznym, które nie były zainteresowane utrzymywaniem konkurencyjnych przedsiębiorstw na terenie Polski. Efekty są widoczne do dzisiaj, zaś sam proces trwa w najlepsze, by wspomnieć choćby likwidację fabryki samochodów na warszawskim Żeraniu. Oddanie w ręce prywatne tego zakładu zaowocowało zwolnieniem kilkudziesięciu tysięcy ludzi na przestrzeni kilkunastu lat. Pozbawionych pracy wskutek nieodpowiedzialnych decyzji musiało, przynajmniej przez jakiś czas, utrzymywać państwo (czyli każdy z podatników), w formie zasiłków dla bezrobotnych lub masowo przyznawanych rent, nie licząc pozostałych kosztów, jak dodatkowe szkolenia z urzędów pracy czy zwiększone nakłady na bezpieczeństwo publiczne.

Kolejnym przykładem konsekwencji wdrażania kapitalizmu kosztem wolnego rynku jest tzw. proces gentryfikacji miast, tj. przekształcania stref mieszkalnych w strefy tylko dla zamożnych. Bynajmniej nie chodzi tutaj o efekt działań rewitalizacyjnych, jak remonty ulic i elewacji. Przewaga własności prywatnej nad komunalną skutkuje wzrostem czynszów lokali wynajmowanych np. na małe punkty usługowe. Tym samym słabsze podmioty, którymi są np. kioski z warzywami, restauracyjki czy puby, czyli miejsca często odwiedzane, zamieniane są na coraz droższe sklepy, butiki czy placówki bankowe. W efekcie – miasto umiera. Jednym z przykładów wspomnianego zjawiska jest powolna „śmierć cywilna” warszawskiego placu Wilsona, jednego z głównych placów historycznej dzielnicy Żoliborz, zawłaszczonego przez międzynarodowe banki. Doszło do tego, gdyż prywatni właściciele, dążący do maksymalizacji zysków z posiadanych lokali, znaleźli firmy zdolne do ponoszenia ponadnormatywnych opłat. Gdyby zastosować tutaj podejście wolnorynkowe, miasto wdrożyłoby program ochrony, który zapewniłby funkcjonowanie małych firm w tej przestrzeni.

W proces zwalczania wolnego rynku przez kapitalizm wpisywało

się także dopuszczenie do budowy super- i hipermarketów w postaci galerii handlowych w centrach polskich miast. Skutkiem takiego podejścia stała się monopolizacja handlu kosztem miejscowych przedsiębiorców, którzy musieli zakończyć działalność nie tylko z powodu braku możliwości konkurencji cenowej, ale także fizycznej likwidacji ich dotychczasowych miejsc pracy wskutek wykupu lokali przez podmioty znacząco silniejsze.

Na przeciwnym biegunie znajduje się nader pozytywny przykład płynący z Europy Zachodniej. Wystarczy spacer po ulicach włoskich, belgijskich czy angielskich miast, by zauważyć, że dominują tam małe, rodzinne przedsiębiorstwa. Wielkie sklepy należące do międzynarodowych korporacji wyrzucane są poza nawias miejski, gdzie ich działalność nie szkodzi lokalnym konkurentom. W Polsce próbą zatrzymania kapitalistycznej ekspansji w celu odrodzenia wolnego rynku była ustawa o wielkopowierzchniowych obiektach handlowych, ostatecznie zniesiona w lipcu 2008 r. wskutek potężnego nacisku lobby korporacyjnego, wspieranego przez media liberalne, utrzymywane m.in. z reklam podmiotów wchodzących w skład tego lobby.

W opisywany trend wpisuje się także wspomniana na wstępie promocja własności prywatnej, wywyższanej ponad innymi jej formami. Do rangi aksjomatu wyniesiono twierdzenie, że jest to najdoskonalszy i niemalże jedyny możliwy sposób posiadania. Tym samym wycofano państwo i społeczeństwo z tej sfery, implicite czyniąc z nich wroga własności. To właśnie na tej kanwie polska spółdzielczość została potraktowana niczym zorganizowana grupa przestępcza, choć ogólna liczba nieprawidłowości w porównaniu do skali działalności jest w niej relatywnie niewielka. Te nieliczne przypadki, zwłaszcza na polu mieszkaniowym, są jednak nader często pokazywane w mediach prywatnych jako obraz patologii własności.

W podobny sposób traktowana jest bankowość spółdzielcza, która stała się obiektem nieustannych ataków ze strony

międzynarodowych korporacji finansowych (często wspieranych przez państwo), dążących do stworzenia oligopolu w tej branży. W efekcie spółdzielczość nie jest przedmiotem edukacji obywatelskiej, nie istnieją państwowe formy jej promocji jako sprawdzonego sposobu walki z bezrobociem i wykluczeniem społecznym, a przede wszystkim – doskonałej formy wdrażania zasad zrównoważonego rozwoju. Jak fantastyczne efekty przynosi ta forma własności, widać na przykładzie Francji, a zwłaszcza Hiszpanii, która z niegdyś zacofanego kraju przeistoczyła się w jedną z podpór europejskiej wspólnoty.

Co warto podkreślić, wolny rynek nie podnosi ekonomicznej konkurencji do rangi świętości. Wręcz przeciwnie – zakłada zgodną współpracę w celu osiągnięcia ceny, którą może zapłacić jak największa liczba osób, za towar lub usługę o własnościach najlepiej dopasowanych do potrzeb danej grupy (społeczności, narodu). Wymaga to swobodnej wymiany wiedzy, której zdobywanie finansowane jest przede wszystkim ze środków publicznych.

By ten cel mógł zostać zrealizowany, potrzebna jest właściwa edukacja, w ramach której akcent zostałby wyraźnie położony nie na „wyścig szczurów”, lecz na solidaryzm. W sposób znakomity system ten działa w państwach skandynawskich, w których olbrzymi nacisk kładzie się na pracę zespołową dzieci. Takie egalitarne podejście przynosi znakomite efekty, plasując zwłaszcza Finlandię w gronie najbogatszych państw świata. Ogromne znaczenie mają tutaj również nakłady na edukację. W Polsce sięgają one rocznie kwoty ok. 3 tys. USD na dziecko, podczas gdy średnia dla państw OECD wynosi 7 tys. USD, zaś w państwach skandynawskich wydatki na ten cel sięgają 9 tys. USD na ucznia. Nie dziwi zatem, że to właśnie w tych krajach skala korupcji jest najmniejsza, zaś ogólny poziom życia – niezwykle wysoki.

Niskie nakłady na edukację mają swoje uzasadnienie w kapitalizmie. Źle wykształconym społeczeństwem jest niezwykle łatwo manipulować, a tym samym stosować ekonomiczny wyzysk. I na odwrót: społeczeństwo dobrze wykształcone jest w pełni

świadome swoich praw. Niezwykle łatwo tutaj wykazać korelację statystyczną. W krajach, w których odsetek osób dotkniętych tzw. wtórnym analfabetyzmem (w uproszczeniu – nieumiejętnością czytania ze zrozumieniem) jest najwyższy, nie ma wolnego rynku w przedstawianym ujęciu. Tam, gdzie jest najniższy, notowany jest najwyższy rozwój ekonomiczno-społeczno-polityczny. Mowa tutaj właśnie o Skandynawii, ale też o Holandii czy Szwajcarii. Czy zatem wolny rynek ma rację bytu w polskich warunkach?

Podstawą jego istnienia jest zmiana podejścia, a przede wszystkim radykalne wykluczenie neoliberalnego dyskursu. Dopóki będzie w Polsce dominowało kryterium najniższej ceny i prywatnej własności, dopóty kapitalizm, ze wszystkimi jego patologiami, będzie destrukcyjnie wpływał na społeczeństwo. Warto sobie uświadomić, że odrzucenie kapitalizmu tylko w jego najbardziej drastycznej formie może zaowocować nie tylko zmianą jakościową ogólnego poziomu życia, ale także zmianą pozycji międzynarodowej naszego kraju.

Autor: Marcin Domagała

Źródło: [Obywatel](#)